



SYLWIA
TROJANOWSKA

ŁABĘDŹ

MARGINESY

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, jednak pewne zdarzenia i postaci są prawdziwe. Autorka przedstawiła je w oparciu o materiały źródłowe z zachowaniem należytej staranności.

COPYRIGHT © BY Sylwia Trojanowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Mieszkańcom Fordonu. Tym, którzy się w nim urodzili,
i tym, którzy oddali w nim swe ostatnie tchnienie.
Oraz mężczyznom mojego życia: Tomaszowi i Alanowi.

I

NIECHCIANE WSPOMNIENIA

Kraków–Szczecin, rok 2000

SCHYŁEK ŻYCIA

To był wyjątkowo upalny lipiec – tak upalny, że rzadko wychodziłam z mieszkania. Na obowiązkowe spacerory, które zalecił mi mój lekarz i jedyny przyjaciel Tomasz Redmer, zbierałam się o świcie, kiedy powietrze było jeszcze rześkie po nocy, a Kraków dopiero budził się z głębokiego snu. Wolnym krokiem pokonywałam wówczas aleje Plant, zwykle trzy, a kiedy miałam więcej energii nawet cztery kilometry – po prostu tyle, na ile pozwalały mi zmęczone życiem kolana. Na koniec przysiadalam na jednej z ławek tuż obok Bramy Floriańskiej, karmiłam gołębie albo po prostu patrzyłam na nieobecne twarze zaganianych ludzi, którzy przejęci swoimi sprawami spieszili w różnych kierunkach. Kiedyś też taka byłam. Dawno, bardzo dawno temu. Obserwując teraz mieszkańców Krakowa, łudziłam się, że ja sama żyłam uważniej, pełniej; podskórnie czułam jednak, że to tylko moje wyobrażenie. Ludzka pamięć lubi wygładzać szorstkość niektórych wspomnień.

W te letnie dni tuż po godzinie dziesiątej byłam już z powrotem w mieszkaniu i otwierałam okna, choć wlewało się przez nie nieprzyjemnie gorące powietrze. Trudno. Wolałam to niż życie w ciszy. Bez dźwięków miasta czułam się tak, jakby ktoś pozbawiał mnie ubrania, wręcz zrywał je ze mnie, i to w miejscu publicznym. Sama myśl o życiu w ciszy napawała mnie lękiem. A ja nie lubiłam się bać.

Po powrocie ze spaceru jadłam skromne śniadanie. Zazwyczaj była to miniaturowa bułka maślana, którą kupowałam u piekarza na rogu. Smarowałam ją cienko masłem i marmoladą, koniecznie

wiśniową. Do tego cappuccino, bo przeciw małej czarnej, którą kiedyś wlewałam w siebie z rozkoszą, buntował się żołądek. Powinnam spożywać obfitsze i pożywniejsze śniadania. Tomasz gorąco mnie do tego namawiał, ale zawsze jadałam jak wróbel. Tyczyło się to zresztą nie tylko śniadań, ale także pozostałych posiłków. Pewnie dlatego moje wyniki badań krwi wskazywały na anemię. Nie dbałam o to ani trochę. Tomaszowi, który niepokoił się o mój stan, mówiłam, że karmię się widokiem miasta, i nie przyjmowałam jego zaleceń. Bo istotnie tak właśnie było. Lubiłam Kraków. Właściwie to nawet kochałam. Nie wyobrażałam sobie życia w innym miejscu. Czasami zastanawiałam się, jak kiedyś mogłam funkcjonować bez niego. Bez hałaśliwych turystów, którzy tłoczyli się pod oknami mojego mieszkania na drugim piętrze Kamienicy Zacherlowskiej. Bez hejnału, tak bardzo wyczekiwanego przeze mnie każdego dnia, i bez najpiękniejszej melodii świata wystukiwanej końskimi kopytami, która działała na mnie jak napar z najlepszej marokańskiej melisy. To miasto zupełnie nieoczekiwanie i całkowicie bezinteresownie przyniosło mi spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Od dwudziestu dwóch lat prowadziłam nudne, przewidywalne i wspaniałe życie, na które nie zasługiwałam. Czułam, że powinnam cierpieć, gnąć w jakieś norze z widokiem na ponury, od lat nieczynny magiel, łykając dławiącą wilgoć starych murów i zgniliznę. Cierpieć z bólu... Choć w zasadzie z bólu cierpiałam, i to każdego dnia. Moje kolana były pogruchotane, a ja nigdy nie zgodziłam się na implanty, mimo że mnie wielokrotnie na nie namawiano. Chyba chciałam, żeby ten ból został ze mną jako swoista kara. Hmm... Czymże jednak jest ból w kolanach wobec wyrzutów sumienia...? Niczym, zupełnie niczym. Na bolące kolana brałam leki, czasem nawet podwójną dawkę. Ale na wyrzuty sumienia nie było żadnego lekarstwa. Niektórzy mówili, że pomaga spowiedź. Nigdy nie odważyłam się tego sprawdzić.

Popołudniami, kiedy słońce zmierzało ku zachodowi, lubiłam czytać książki i stare, naprawdę stare gazety. Czasami, bardzo rzad-

ko, zamawiałam taksówkę i jechałam nad Wisłę, w okolice Wawelu. Nie po to, by spacerować, bo tego nie zniosłyby moje stawy, ale by posiedzieć na ławce, godzinę albo dwie, i napawać się widokiem łąbędzy. Nie powinnam ich karmić, wiem, ale przyzwyczajenia sprzed lat były silniejsze. Podrzucałam im więc to i owo, najczęściej gotowane ziemniaki.

Wieczorami zazwyczaj słuchałam radia albo oglądałam telewizję. Lubiłam też duży ekran, ale w Krakowie do kina nie chodziłam. Czasem urządzałam sobie domowe pokazy, bo miałam sporą kolekcję starych francuskich filmów, które nigdy mi się nie nudziły.

Z chęcią wyglądałam przez okno, z którego rozpościerał się imponujący widok na Rynek Główny. Najbardziej podziwiałam kościół Mariacki, karmiłam głodne oczy strzelistą bryłą. Znałam jego detale niemal na pamięć, a dwadzieścia jeden figur w konsolach potrafiłam opisać z najdrobniejszymi szczegółami. Nawet w środku nocy. Często zachodziłam w głowę, jak zwykły ludzki umysł mógł wymyślić tak nieludzko idealne dzieło.

To moje wypatrywanie przez okno... Na początku, tuż po przenosinach do Krakowa, ogarniał mnie wstyd, kiedy przyciągałam spojrzenia zadzierających głowy turystów. W pamięci miałam słowa mojej matki, która przestrzegała przed wysiadaniem w oknie.

„Ludzie powiedzą, żeś ciekawska” – mawiała z niesmakiem.

Poważałam matkę i dlatego „ciekawskość” traktowałam jako jedną z najgorszych obelg. Stawiałam ją w tym samym rzędzie, co głędę, paplę i plotkarę, i za nic w świecie nie chciałam być uznana za ciekawską. Dopiero na stare lata, a dokładnie wtedy, gdy ból w kolanach znacząco mnie ograniczył, wysiadanie w oknie przestało wywoływać we mnie nieznośne uczucie wstydu. Nawet je polubiłam, a po pewnym czasie, co przyznawałam niechętnie, uzależniłam się od niego.

Wczesny wieczór dwudziestego czwartego lipca miałam spędzić w towarzystwie Tomasza. Na tę okazję kupiłam wytrawne wino musujące i upiekłam sernik, jedyne ciasto, które zawsze wychodziło spod mojej ręki jak należy. Umówiliśmy się na partyjkę pokera, co

zwykliśmy czynić kilka razy w miesiącu. Tomasz zadzwonił jednak tuż przed dziewiętnastą i odwołał spotkanie, bo z niespodziewaną wizytą przyjechał do niego wnuk. Szczęściarz... Tomasz, nie wnuk. A może obaj?

Usiadłam przy niskim stoliku nakrytym jedwabną serwetą. Do wysokiego kieliszka w kształcie tulipana nalałam wina i przez chwilę przyglądałam się bąbelkom pędzącym ku gorze w zwartym szeregu. Włączyłam telewizor. Musiałam go pogłościć, bo rozbawieni turyści, którzy okupowali restauracyjne stoliki pod moimi oknami, zachowywali się wyjątkowo rubasznie i wykrzykiwali niezrozumiałe dla mnie hasła, chyba po holendersku. Nie przeszkadzało mi to ani trochę. Potrzebowałam hałaśliwego Krakowa.

Żeby zabić czas, którego nie spędzałam z Tomaszem, skakałam po kanałach w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym obejrzeć. Miałam ich bardzo dużo, bo wykupiłam największy pakiet telewizji kablowej. Co prawda, faworyzowałam pięć, najwyżej osiem stacji telewizyjnych, ale skoro mogłam mieć wybór...? Teraz zdecydowałam się na swój ulubiony kanał historyczny; kiedy jednak zobaczyłam tytuł reportażu, który za chwilę miał być nadawany... Zastygłam. Przecież rano sprawdziłam ramówkę, powinni teraz puścić materiał o zimnej wojnie, a nie o...

– Gustaw Guderian. Nieznana postać, nieznana historia, nieznaną kat Polaków – rozbrzmiało z telewizora.

Głośno przełknęłam ślinę i kieliszek z winem wypadł mi z ręki. Spojrzałam na rozbite szkło i płamę wsiąkającą w mój piękny wełniany dywan. W innej sytuacji zerwałabym się z miejsca, by jak najszybciej posprzątać, ale nie tym razem. Przesłoniłam dłonią usta i przez chwilę wgapiałam się w człowieka, który z satysfakcją mówił o odkryciu wielkiej tajemnicy sprzed lat. Złapałam za pilota i drżącym palcem jeszcze podkręciłam dźwięk. W mieszkaniu dudniło. Tak samo jak w mojej głowie.

Przez kolejne czterdzieści pięć minut słuchałam tyrady demaskatora nazistów, jak nazwał siebie pyszałkowaty mężczyzna, czując,

że z każdym nienawistnie wypowiedzanym przez niego słowem: kat, oprawca, morderca, potwór, moim ciałem wstrząsają torsje. Ścisnęłam mocno brzuch, by wytrwać przed telewizorem, by nie stracić ani jednego „kata”, „oprawcy”, „mordercy” i „potwora”, by wysłuchać całej opowieści o Gustawie Guderianie. Program się skończył i pojawiły napisy końcowe, a ja nadal tkwiłam w tej samej pozie. Jak za hipnotyzowana.

„Guderian, kat, oprawca, morderca, potwór...” – bez końca, jak zdarta płyta, powtarzał w mojej głowie głos „demaskatora nazistów”.

Po kilku minutach zerwałam się z fotela i tak prędko, jak mogłam, udałam się do łazienki. Musiałam opróżnić żołądek. Potem stanęłam nad umywalką i spojrzałam w ośmiokątne lustro, które kupiłam kiedyś za grosze na pchlim targu. Wyglądałam parszywie. Miałam rozmazany makijaż, a dwie ciemne strugi łączące dolną powiekę z linią żuchwy świadczyły o tym, że musiałam płakać, i to rzewnie. Zmarszczyłam brwi, bo zupełnie tego nie pamiętałam. Umyłam twarz, przetarłam ją ręcznikiem i bez sił usiadłam na krawędzi wanny. Czułam, jak mój oddech staje się coraz cięższy.

„Guderian, kat, oprawca, morderca, potwór...”

Nie wiem, jak długo dochodziłam do siebie i kiedy w końcu ucichły w mojej głowie słowa młodego dziennikarza, ale gdy wstałam, dotarło do mnie wycie telewizora. Zapomniałam go wyłączyć! Nie byłam jedną z tych hałaśliwych lokatorek, które zakłócały mir domowy lub ciszę nocną. Wolałam raczej żyć w cudzym hałasie, niezauważana. Nigdy nie przeszkadzały mi imprezy w mieszkaniu na trzecim piętrze ani ekscesy w sypialni apartamentu za ścianą. Nawet były mi na rękę, bo sąsiedzi całą swą uwagę skupiali na nich, nie na mnie.

Czym prędzej wyłączyłam telewizor, umyłam podłogę i wyciszciliśmy dywan. By odzyskać oddech po takim wysiłku, podeszłam do szeroko otwartego okna. Oparta biodrem o parapet, sunęłam palcem po nierównościach drewnianej framugi i patrząc na kościół Mariacki, próbowałam uspokoić myśli. Bezskutecznie.

Szeroka rzeka turystów fedrowała rynek, nie omijając żadnych zakamarków. Ten widok często mnie uspokajał, ale nie tym razem. Nieoczekiwanie postanowiłam spróbować czegoś nowego.

Wzulałam buty, zarzuciłam na plecy cienki sweter i wyszłam z domu. Nie miałam w zwyczaju urządzania sobie wieczornych ani nocnych eskapad, od lat unikałam ciemności. Nawet w świetle latarni i sklepowych neonów nie czułam się bezpiecznie. Poza tym tłumy ludzi z tak bliska mnie przerażały, bałam się poczucia osaczenia. Tym razem jednak po prostu musiałam wyjść z mieszkania, od którego ścian nadal odbijał się echem głos butnego dziennikarza.

Pomyślałam, że przejdę się tylko do piekarni na rogu i z powrotem, ale kiedy stanęłam w gęstwinie ludzkiej na Świętego Jana, ruszyłam w przeciwnym kierunku. Jak ja szybko szłam! Zazwyczaj drobię kroki, stąpam uważnie, by nie nadwyrężyć kolan i broń Boże się nie przewrócić, a teraz? Pędziłam niemal tak jak za młodu. Pewnie koślawiej, bardzo niezdarnie, ale szłam! Mijałam sklep za sklepem, szturchana przez jednych, popychana przez drugich. Dopiero gdy dotarłam do kościoła pijarów, zatrzymałam się, bo moją uwagę przykuła młoda skrzypaczka wygrywająca jakąś tęskną nutę. Wtedy też poczułam żar w kolanach. Ależ one piekły! Potrzebowałam odpoczynku, a w zasięgu wzroku znajdowały się jedynie schody prowadzące do świątyni. Nie miałam wyjścia, musiałam na nich usiąść. Z kieszonki spodni wyjęłam podłużną tabletkę przeciwbólową, wierną przyjaciółkę, którą zawsze nosiłam przy sobie na wszelki wypadek. Choć była duża, połknęłam ją bez trudu, bez popijania. Doszłam w tym do perfekcji. Wiedziałam, że miną jakieś dwa kwadransy, zanim zaczną działać. Wcisnęłam się całym drobnym ciałem w ścianę kościoła, by stać się jak najmniej zauważalna, i przyknełam oczy. Ludzie mogliby pomyśleć, że wypięłam co bądź za dużo, ale było mi to obojętne.

W oparach skrzypcowego koncertu odtwarzałam kadr po kadrze obejrzany chwilę temu reportaż. Całkiem dobrze mi szło, choć nie

pamiętałam wszystkiego. Zrzuciłam to na karb emocji, bo z pamięcią nie miałam problemów.

Ból w kolanach zaczął odpuszczać dokładnie w chwili, kiedy podjęłam najtrudniejszą decyzję w jesieni mojego życia.

Wracałam do mieszkania powoli i żaden tłum nie był już w stanie mnie wciągnąć w swój nurt. Szłam blisko frontalnych murów kamienic, zupełnie jakbym drążyła własne koryto, któremu na imię było odkupienie.

II

POMRUKI ZŁA

*Fordon i okolice, rok 1938
i wspomnienie lat wcześniejszych*

NASZ MAŁY ŚWIAT

Otulony szalem wiślanych fal podbydgoski Fordon był miastem niemal sennym w porównaniu do gwarnej Bydgoszczy*. Nie było w nim tramwajów, szpaleru aut ani tłumów ludzi spieszących ulicami, szerokimi nadrzecznymi bulwarami czy po parkach. Nie było domów towarowych ani wielopiętrowych strojnych kamienic z wielkimi sztyldami i markizami strzegącymi witryn. Lecz było w Fordonie coś, co sprawiało, że ludziom mieszkało się tu dobrze. Być może chodziło o to, że po wojennej niepewności i tułaczce znaleźli tam ukojenie, bezpieczeństwo i ciszę, których w dużym mieście obawiali się nawet poszukać. Przybywali licznie, z różnych stron, i rozpoczęli nowe życie przy dźwiękach pociągów pędzących ponadkilometrowym mostem łączącym oba brzegi Wisły, parostatków oraz licznych fabryk, w tym cegielni Alberta Medzega, która dzierżyła dumne miano największej na Pomorzu.

Łabędziowie sprowadzili się do Fordonu tuż po powrocie Jana z wielkiej wojny. Mężczyzna wraz z żoną Justyną, bliźniętami Radkiem i Olkiem oraz ze swoją matką zajęli niewielki podniszczony dom na samym końcu ulicy Piłsudskiego**. Tylko na taki było ich stać. Cieszyli się jednak, bo w końcu mieli coś własnego i nie musieli już prosić się w gościnę do obcych. Skromne poletko za domem

* W 1973 roku Fordon został przyłączony do Bydgoszczy i stał się jej dzielnicą; w okresie międzywojennym był odrębnym miastem.

** Ob. ul. Wyzwolenia.

wykorzystali co do piędzi, uprawiając warzywa, owoce i zboża. W niewielkim sadzie zadbali o drzewa, przycinając je i szczepiąc owocodajne gatunki.

Zorganizowali kury i kaczki. Przygarnęli też psa, a do rozprawiania się z myszami – szaroburego kota.

W Fordonie czuli się bezpiecznie, a kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku po wielogodzinnym i trudnym porodzie na świat przyszła ich upragniona córka Anna, wiedzieli, że są także szczęśliwi. I to z każdym rokiem coraz bardziej.



Wczesnym porankiem na fordońskich obrzeżach zazwyczaj było spokojnie. Każdy pilnował swoich obowiązków. Ci, którzy szli do pracy, wychodzili z domów skoro świt. Ci, którzy zajmowali się gospodarstwem, uwijali się w swoich obejściach. Tamtego lipcowego dnia jednak na skraju ulicy Piłsudskiego panował niespotykany o tej porze harmider. Był tak wielki, że nawet stara Krügerowa oderwała się od swoich słynnych koronek, które dziergała dla bogatych bydgoszczanek, i wyszła przed dom, by podejrzeć sąsiadów.

Przed kwadransem do Łabędziów przyjechała wyładowana po brzegi ciężarówka. Kierowca, stary Makaryk, przywiózł tak wiele pak, że sam nawet nie potrafił powiedzieć, ile ich było.

– Panie Łabędź... – Zrezygnowany machnął ręką, strząsając przy tym popiół z papierosa trzymanego w dwóch palcach. – Jechałem do was z duszą na ramieniu. Kazali, to wziąłem, ale Bóg mi świadkiem, że słyszał, jak most pode mną trzeszczy.

– Doceniam – odparł gospodarz. – Wie pan, wszystko na ostatnią chwilę.

– Ano słyszałem i pędziłem. Panie! – Raz jeszcze machnął ręką. – Mam nadzieję, że kolubryny nie zarżnąłem. – Poklepał samochód niczym klacz po pęcinnie, wetknął papierosa do ust i zaczął wyładować. – Pomogę tylko zrzucić – rzekł przez zęby – bo mam robotę jeszcze dziś przy szportplacu w Bydgoszczy.

– I za to dziękuję. Coś do picia mogę zaproponować w zamian. Mężczyzna przystał na to, dodając, że chętnie, ale po pracy.

– Sam pan chyba nie jesteś, co? – zagadnął, kiedy się rozejrzył. – Masz jakiego chłopca do pomocy?

Jan Łabędź pokręcił głową.

– Z córką jestem. Żona na targu, matka w domu, chora, a synowie w robocie. Trzech miejscowych zwołałem, ale to ledwie od ziemi odrosło i jeszcze cherlawe takie.

Makaryk podrapał się po głowie, zaciągnął resztką cygareta, wyrzucił kiepa i wypuścił dym.

– Pomógłbym, panie! Co by mi szkodziło. Ale dziś naprawdę nie dam rady.

– I tak pan pomogłeś.

Po trzech kwadransach po Makaryku została tylko chmura kurzu, na którą niechętnie spoglądał Łabędź.

– Do diabła! – stęknął i ocierając pot z czoła, klapnął na schodach. – W życiu nie dam rady!

Zawsze był szczupły, ale silny i żyłasty, jak mawiali niektórzy, bo w niepozornym ciele drzemały spore pokłady mocy. Ostatnimi miesiącami nie czuł się jednak w formie, utracił dawną młodzieńczą witalność. Ten ring i młodzi bokserzy w obejściu to miał być krok w stronę odzyskania pełni formy.

– Papo, przecież nie jesteś sam! A ja to co? – zapytała Anna, która pojawiła się u boku ojca. – Poza tym mamy pomocników, a za dwie godziny jeszcze nasi będą.

– Ty to zawsze jesteś na fleku, córcia. Te huncwoty – ruchem głowy wskazał na chuderlawych piętnastolatków, którzy zniknęli właśnie za domem – do siłaczy nie należą, a Radek z Olkiem to pewnie dopiero wieczorem zjadą. Zmęczeni po robocie, pójdą spać i tyle z ich pomocy będzie. Kto to widział samemu brać się za taką rzecz?

– Papo, powtarzam ci! Nie jesteś sam! Poza tym, to był twój pomysł z tym ringiem.

Żartobliwie wycelowwała w ojca palec. Wiedziała, że tego nie lubił. Spojrzał na nią chmurnie, a ona natychmiast cofnęła rękę. Westchnął i potarł kolana, jakby chciał rozgrzać mięśnie i stawy przed pracą.

– Wiem i chyba żałuję.

– Chyba nie! – Zaśmiała się, zbiegła po schodach i poderwała jedną z lżejszych paczek. – Mama ciągle powtarza, że trzeba robić to, co się kocha. A ty to kochasz, prawda?

Ojciec pokręcił głową, z wesołym błyskiem w oku. Uważnie spojrzął na córkę. Była bardzo drobna, miała niedługie, ciemne włosy i orzechowe oczy, dokładnie takie same jak on. Nos i usta też miała podobne. Gdyby zmieniła fryzurę na męską, wyglądałaby jak jego kopia.

– Pyskata jak... matka... – rzucił cicho i podniósł się z sapnięciem.

Szarpnął wiązkę desek. Od dobrych trzydziestu minut przynosili je sprzed domu na plac za kurnikiem, tuż obok nieurodzajnego poletka, na którym Jan od lat składował zdobywcze części do furmanki i drewno na opał. Na południowo-zachodnim rogu mieli postawić prowizoryczny ring bokserski dla młodzików z klubu „Astoria”, rozpoczynających coroczny letni obóz treningowy w pobliskim lesie. Ostatnie deszcze sprawiły, że tam, gdzie zazwyczaj stawiano ring, powstało bajoro, i otwarcie obozu było zagrożone. Z pomocą przyszedł Jan; zaproponował urządzenie ringu na swojej posesji, a klub przyjął tę propozycję i wysłał deski, liny i osprzęt do Fordonu.

Jan Łabędź od dziecka interesował się sportem, szczególnie bieganiem i gimnastyką. Nie myślał o karierze sportowej, w jego otoczeniu nikt nie brał jej pod uwagę. Chłopcy ze wsi zostawali na roli, a w najlepszym wypadku zdobywali fach stolarza, zduna lub rymarza. Dla Jana ojciec wybrał stolarkę, widząc w tym przyszłość. Jan jednak nigdy nie zaprzestał uprawiania sportu. Nie zmieniły tego ani ożenek, ani późniejszy wojenny czas. Kiedy wrócił z francuskie-

go frontu, był inny, jakby zgaszony, często zamyślony i w ogóle nie-skory do żartów. Budził się w nocy zlany potem, czasami krzyczał. Ale gimnastyki ani biegania nie zarzucił. Justyna nieraz narzekała na popołudniowe ćwiczenia męża, które odbywał za domem. Dla niej to było zwyczajnie niemęskie i nie pasowało do głowy rodziny.

– Chłop, a wygina się jak baba – marudziła, bo wołała, żeby zajmował się synami, którzy przyszli na świat podczas jego żołnierskiej tułaczki, albo schorowaną matką, która mieszkała z nimi, a była już u kresu życia. A najlepiej, gdyby przyjmował stolarskie fuchy, bo gąb do wykarmienia mieli sporo, a pieniędzy jakoś nie.

Jan przymykał oko na pojękiwania żony, bo wiedział, że jego Justysia taka była. Zresztą kiedy na te swoje łamańce, jak zwykła nazywać gimnastykę, zaczął zabierać synów, dając jej wytchnienie od ich niespożytej energii, przestała utyskiwać, a nawet z zadowoleniem, acz z za firanki, patrzyła, jak dobrze radził sobie z Radkiem i Olkiem.

Bo Jan bardziej niż sport kochał chyba tylko swoje dzieci i żonę. Kibicując na zawodach lekkoatletycznych, które odbywały się w Fordonie w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, tuż przed narodzinami córki Anny, zapatrzył się na Adama Pęgowskiego, trenera biegaczy krótkodystansowych. Pęgowski tak mu wówczas zaimponował, tak wielkie wrażenie na nim zrobił, że Jan zapragnął sam zostać trenerem. Nie miał znajomości ani stosownego wykształcenia, ale czuł, po prostu czuł, że ma do tego dryg. Widział to po synach, z którymi wszystko mu się udawało. Wiele wody jednak upłynęło, zanim spróbował sił poza własnym obejściem. I wcale nie w klubie lekkoatletycznym, o którym początkowo myślał.

Kiedy w bydgoskiej „Astorii” pojawiła się sekcja bokserska, Jan oszalał na jej punkcie. Cały wolny czas spędzał na podglądaniu bokserskich treningów i na... boksowaniu. Czuł ten sport jak żadnego wcześniej.

Regularnie zjawiał się na treningach młodych zawodników, a czasami, nigdy jednak nie wchodząc trenerowi w paradę, zbierał się na odwagę i czynił drobne podpowiedzi, chwalił za wysoką gar-

dę, wskazywał błędy przy markowaniu, zadawaniu i przyjmowaniu ciosów. Nie, żeby się wymądrzał, ale wiedział, że niektórzy może i nie posiadają wrodzonego talentu, pięściarskiego instynktu, ale mają zapał i chęci, a czasami to jest ważniejsze od palca bożego.

Raz w „Astorii” spotkał Feliksa Stamma, który zachęcił go do trenowania młodziaków. Jan Łabędź jakby tylko czekał na taką zachętę. Słowa znanego trenera wziął za dobrą monetę i od razu rozpoczął starania o stanowisko. Namaszczony przez Stamma, szybko rozpoczął luźną współpracę z klubem, bo akurat szukano pomocnika trenera. Żona boczyła się na niego przez tydzień, ale potem, udobruchana kwiatami, dała mu wolną rękę, zapowiadając tylko:

– Skończysz z tym boksem, jak nie będę miała co do gara włożyć!

Przystał na taki układ i wbrew obawom Justyny zaczął nawet zarabiać więcej niż wcześniej. Z „Astorii” wpadał drobny grosz, a i ludzie dowiadawali się o stolarzu, który pomaga szkolić chłopców w boksie, i z wdzięczności podrzucali zlecenia.

Starczało im na normalne życie. Nie na luksusy, eleganckie ubrania, szyczone buty, ale głodny, brudny czy obdarty nikt z nich nie chodził. Czasami nawet pozwalali sobie na ekstrawagancję. Największą bodaj był zakup radioodbiornika. Ależ Jan pęczniał z dumy! Zgłosił go nawet do opodatkowania*, choć Justyna przekonywała, by przykładem sąsiadów dał spokój. Parę złotych więcej w miesięcznej kiesie działało na jej wyobraźnię. On jednak zawsze postępował uczciwie, a poza tym nie chciał, by ktokolwiek podejrzliwie spoglądał na mały, nieco pokraczny dom na końcu ulicy Piłsudskiego.

Kiedy Jan rozliczał większe fuchy, zabierał rodzinę na ciastka z kremem, kanoldy**, nawet na wycieczkę do modnego lasu parafial-

* Wiele fordońskich rodzin zatajało fakt posiadania radioodbiornika, co spowodowało wprowadzenie działań zwalczających radiopajęczarstwo. Obiecywano wysokie nagrody pieniężne za wskazanie nielegalnych użytkowników. Za: Z. Biegański (red.), *Dzieje Fordonu i okolic*, Bydgoszcz 1997.

** Słodkie karmelki o mleczno-słodowym smaku.

nego w Jaruzynie. Justynie kupował wodę perfumowaną albo materiał na sukienkę. Lubił, kiedy jej oczy błyszczały na widok niezdarnie zapakowanego prezentu i gdy promieniała, oglądając podarek. Przysłuchiwał się potem, jak szczebiocze do sąsiadek o dobrotliwym mężu, i ciepłej mu się na sercu robiło.

Czasami Jan chadzał na płatne odczyty. Cenił sobie zwłaszcza prelekcje redaktora Nowakowskiego z „Dziennika Bydgoskiego”. Justyna mu towarzyszyła, choć nie podzielała jego fascynacji. W fordońskim towarzystwie chciała jednak uchodzić za inteligentkę i kobietę obytą, a takie spotkania były ku temu doskonałą okazją. Chciała też wrosnąć w społeczność i zyskać szacunek mieszkańców, mimo że majątek mieli niewielki. I to jej się udało. Przekonała się o tym, kiedy zmarła jej teściowa. Zeszli się wtedy sąsiedzi z kondolencjami, wspólnie odmawiali różaniec, czuwali przy trumnie, a potem stawili się gromadnie, by towarzyszyć matce Jana w ostatniej ziemskiej drodze.

Justyna była wdzięczna za wszystko, co dawał jej los, choć dawał raczej skąpo i do tego w wiecznej tułaczce. Teraz, dzięki fordonianom, poczuła, że oto znalazła swoje miejsce na ziemi.



Bracia Anny: bliźniacy Radosław i Aleksander, na których nikt nigdy nie powiedział inaczej niż Radek i Olek, urodzili się w tysiąc dziewięćset piętnastym roku i byli wyjątkowo absorbującymi dziećmi. Wszędzie było ich pełno, a psocili jak nie dwa, a cztery czorty. W dziesiątym miesiącu życia obaj stanęli na nogi, ale nie po to, by chodzić, a biegać. Justyna nie nadążała za nimi, nawet nie miała do tego głowy. Jan poszedł na wojnę, zostawiając ją w mieszkaniu, w którym we czwórkę gnieździli się w dwóch izbach. Było jej ciężko z dwójką wyjątkowo żywotnych dzieci i schorowaną teściową, która wymagała opieki niemal takiej, jak bliźniacy. Sąsiadki, bywało, zjawiały się z pomocą, ale w tamtych czasach każdy miał ręce pełne roboty, więc Justyna zasadniczo musiała sobie radzić sama. Z tym, co

do garnka włożyć, także. Na szczęście chłopcy rośli zdrowo i choć dokazywali, nie byli chorowici. Justyna każdego wieczoru modliła się o to, bo wiedziała, że na medykamenty nie byłoby jej stać. O lekarzu nie wspominając.

Jan wrócił z wojennej tułaczki zarośnięty, brudny i chudy jak pęd szczypioru. Justyna z początku go nie poznała, a rodzona matka krzyknęła przerażona: „A kysz, diable!”. Bliźniacy za to z ciekawością przyglądali się przybyszowi, który po kilku godzinach obrządku zaczął przypominać mężczyznę z czarno-białej fotografii, z którą gorliwie i każdego dnia rozmawiała ich matka, a z którą oni musieli się witać o poranku serdecznym: „Dzień dobry, papo”, i żegnać: „Do-branoc, papo”.

Kiedy Jan doszedł do siebie i nabrał nieco sił, od razu rozejrzał się za nowym domem, bo chciał zapewnić rodzinie lepszy byt. Trafiło na odległy Fordon, w którym znalazł się i tani dom, i nadzieja na pracę. A tej nigdzie wtedy nie zbywało. Jan imał się każdego zajęcia i najmował gdziekolwiek: przy budowie dróg, noszeniu cegieł, cięciu tektury, nawet połowie ryb. Najrzadziej pracował w swoim zawodzie, bo akurat na stolarzy nie było zapotrzebowania, meble znajdowały się na końcu długiej listy potrzeb ludzi, którzy odradzali się po trudach wojny. Jan brał wszystko, nawet od Niemców, choć na początku się przed tym wzbraniał.

– Janku, tu Polak z Niemcem i Żydem sąsiadem – tłumaczyła Justyna, kiedy siadł przy stole, by podzielić się wątpliwościami. – Dogadujemy się przecież, ciastem częstujemy, na swoje dzieci mamy baczenie.

– Ale oni w nas strzelali, rozumiesz?

– No, rozumiem! Sam mówisz, że oni strzelali. A oni to na pewno nie nasi. – Pogładziła męża po ramieniu i nalała kawy do szklanki w koszyczku. Jan ledwo wcisnął spracowane paluchy w małe uszko i siorbnął łyk. – Poczekaj, aż trochę ostygnie, bo język poparzysz – obsztorcowała go, a Jan posłusznie odstawił szklankę.

– Inni biorą robotę u Niemców. I to chętnie – stwierdził.

– No, pewnie. Powtarzam ci, to nie są ci sami Niemcy, co tam, w okopach. A nawet jakby... Janeczku, wojna się skończyła, trzeba zapomnieć, bo inaczej by człowiek z tej nienawiści i niechęci nabawił się zgryzoty i do grobu położył. A my przecież jeszcze tyle dobrego mamy przed sobą. Życia tyle.

Justyna pocałowała męża w czubek głowy, a potem z miłością przygładziła jego niesforne włosy.

– Żaden pieniądz nie śmierdzi, Janeczku. Żaden. Ale każdy może ładne zapachy do domu przynieść. No, na przykład taki placek... I on coś kosztuje przecież.

Jan dał się przekonać Justynie i odtąd inaczej patrzył na okolicznych Niemców. Przyjmował od nich fuchy, pracował z nimi ramię w ramię. Zaczął nawet z nimi rozmawiać, bowiem niemieckim władał biegle, jak zresztą każdy z Łabędziów. Najął się do prac stolarskich i dekarских u znanej rodziny Rosenthalów, która po wojnie w nieco szemrany sposób weszła w posiadanie majątku w pobliskim lesie. To dało mu sporo grosza, niemalą sławę w sąsiedztwie i listę stolarskich zleceń od niemieckich znajomych Rosenthalów. Może i Jan nie był artystą, nie strugał w drewnie rzeźb godnych westchnień rozkapryszonych pańien, ale pracował sumiennie, szybko i uczciwie. To wystarczyło, by wrócił do wyuczonego zawodu stolarza i otworzył warsztat na tyłach domu przy Piłsudskiego. Dzięki temu spędzał więcej czasu w obejściu, co cieszyło przede wszystkim rosnące jak na drożdżach dzieci. Chłopcy podglądali ojca, a kiedy nie patrzył, dobierali się do młotka i tłukli po ścianach, po podłodze, a czasem po palcach, jeśli Jan nie zdążył wyrwać narzędzia z ich sprytnych i nazbyt spieszych rączek. Czasami ojciec wykazywał się wyjątkową cierpliwością i uczył ich prostych stolarskich czynności, a chłopcy z zachwytem wkręcali drewnienka w imadła, szlifowali kołki, rozmiękcza listawki. I obydwaj przysięgali, że w dorosłości zostaną stolarzami. Później zaczęli marzyć o karierze sportowej, bo ojciec zaraził ich pasją do wysiłku fizycznego. Biegali, gimnastykowali się i... wspinali na wszystko, byle wyżej i niebezpieczniej. Nie

było drzewa ani komina nie do zdobycia, słupa i muru, na który nie dałoby się wspiąć. Nie podarowali sobie nawet wiekowego orzecha włoskiego, który strzegł wjazdu do domu Krügerów, ani dachu kościoła. Ksiądz proboszcz mało zawału nie dostał, kiedy zobaczył dwóch Łabędziów wiwatujących na gzymsie neobarokowej świątyni.

Ojciec nie raz interweniował i ściągał nicponi z sękatych dębów i lip, strzelistych topoli i rozłożystych świerków, bo wleźć potrafili, ale z zejściem bywało gorzej. Nie złościł się jednak na nich, wszak sam w dzieciństwie podobnie psocił.

– Tylko mi się nie połamcie! – grzmiał. – Bo wtedy to i mnie matka przetrąci gnaty.

No i nigdy się nie połamali. Byli jak z gumy, nawet kiedy raz czy drugi spadli z wysokiej gałęzi. Obtłukiwali się, i to sromotnie, ale nic poza tym. Po otrzeptaniu kolan i zdartych do krwi łokci zaczynali szukać kolejnej przeszkody.

W szkole powszechnej uczyli się mało. Nie lubili siedzieć w ławce. Za nic mieli linijkę srogiej nauczycielki od polskiego, która wymierzała razy za ortograficzne byki, czy ciężką rękę matematyka, którą poznawali niechętni algebrze. Więcej uciekali z lekcji, niż na nich siedzieli. Szkolne grandy i klasowe psikusy to była ich specjalność. Chowali zeszyty, związywali w jeden supeł sznurówki butów, do kanapek dosypywali soli. Rozlewali klej na nauczycielskich krzesłach, a w przewody kominowe wpuszczali żaby, tak że często nie dało się w spokoju przeprowadzić lekcji. Niejednego doprowadzali do wściekłości, co delikatniejszych do łez. Mieli jednak zasadę: nigdy nie bruździli dziewczynom. I nieważne, czy chodziło o te ładne, czy o te, które nie wzbudzały ich najmniejszego zainteresowania. Dziewczyn nie tykali, a kiedy ktoś im szkodził, zawsze ich bronili. Byli wobec nich eleganccy i szarmanccy, choć nigdy przesadnie usłużni. Z łatką miłych łobuzów wzbudzali powszechny dziewczęcy zachwyt.

Radkowi i Olkowi nie raz zdarzały się nielegalne wypadki. A to do największego podfordońskiego sadu na szaber jabłek, a to do restau-

racji „Dworcowej” na papierosy, które podkradali pijanym w sztok klientom, a to do zakrystii, żeby capnąć parę groszy z tacy. Sporo mieli na sumieniu, ale dziwnym trafem zawsze wszystko uchodziło im płazem.

Kiedy trochę zmężnieli, zaczęli wdawać się w bijatyki. Nie należeli do tych zadziornych, ale gdy ktoś wytykał im przykrótkie spodnie czy zdarte buty, nie certolili się, tylko rozwiązywali sprawę pięściami. Zdarzało się, że dostawali za to karę i w szkole, i w domu, ale jak to oni, nic sobie z tego nie robili.

– Oby tylko do więzienia ich nie wzięli – biadoliła Justyna. – Tego bym nie zniosła!

Nie wzięli, choć czasem pewnie powinni. Bracia byli prawdziwymi fuksiarzami!

Kiedy Jan odkrył boks, bliźniacy również zakochali się w tym sporcie. W końcu mogli się bić bez obaw przed karą, bez krzywych spojrzeń ludzi na to, że wymachują pięściami. Były co prawda reguły, które nie do końca im odpowiadały, bo czasami woleliby kopnąć przeciwnika w krocze albo ugryźć w ucho, ale podporządkowali się i... trenowali jak szaleni. Na początku nawet dobrze rokowali. Trener mówił, że zrobią karierę, a oni fantazjowali o wielkich sukcesach na polskich i światowych ringach.

– Objemy pyski Niemcom! – ekscytował się Radek.

– I Żydom też! – dodawał Olek, którego osiągnięcia Rotholca kłuły w oczy.

Jednak z miesiąca na miesiąc ich zapał słabł, aż w końcu zgasł całkiem. Być może stało się to za sprawą dziewczyn, coraz gęściej kręcących się wokół braci Łabędziów, którzy, gdyby ich porządnie ubrać, wyglądałoby jak z żurnala.

Zarówno Radek, jak i Olek zarzekali się, że do żeniaczki i zakładania rodziny im daleko. Obydwu stan kawalerski wybitnie służył. Chcieli się bawić. Po zakończeniu szkoły powszechnej bez trudu znaleźli pracę jako dekarze, mieli więc pieniądze na uciechy, a i matce mogli coś wsunąć do kieszeni fartucha. Znali się też na stolarce

i kiedy grosz na używki oraz dziewczyny im się kończył, dorabiali sobie u ojca na fuchach albo u innych stolarzy w okolicy.

Dziewczyny zmieniali często, bawili się nimi, rozkochując je w sobie równie szybko, co porzucając. Bywało tak, że z jedną budzili się o poranku, a z drugą zlegali wieczorem. Żadna nie potrafiła zatrzymać ich na dłużej, żadnej też nie robili nadziei, bo z żadną nie łączyło ich nic szczególnego. Tak naprawdę w ich życiu liczyły się tylko dwie kobiety: matka i o pięć lat młodsza siostra Anna. O obydwie dbali w wyjątkowy sposób i za obydwie gotowi byli oddać życie.



Anna od małego była pogodna, ze wszystkiego zadowolona. Czarowała bystrymi orzechowymi oczami i usteczkami składającymi się bez przerwy do uśmiechu. Stała się pupilką wszystkich, maskotką, bo każdy lubił się z nią pokazywać. Taka ładna była. I mądra. Matce marzyło się, że zrobi z niej prawdziwą damę, by miała szansę wejść w bogatą rodzinę i żyć na wysokim poziomie. Ale Ania, choć z pokorą przyjmowała wszystkie matczyne nauki, najbardziej ekscytowała się wygłupami braci. To oni nauczyli ją wspinania się na drzewa i pływania w rwącej rzece. Pokazali, jak ukryć się w gęstwinie, by nikt jej nie znalazł, jak opatrzyć ranę liśćmi, a nawet jak używać pięści, rzecz jasna w samoobronie. Z tym ostatnim nie radziła sobie najlepiej, bo z założenia nie przepadała za walką wręcz, ale pozostałe umiejętności opanowywała z łatwością, a w bieganiu na długie dystanse okazywała się wytrzymalsza od starszych, znacznie leniwszych chłopaków.

– Będą z ciebie ludzie – mawiał Radek. – Żaden gówniarz ci nie podskoczy!

Chichotała na słowa ukochanego brata, a on wtedy dodawał:

– Ale niejeden straci dla ciebie głowę! Tylko pamiętaj, że jakby chciał ci jaką krzywdę zrobić, to mu w pysk wał, a jak nie da rady, to kop między nogi, w jaja. Boli jak pierun.

Rady brata ceniła wyżej niż matczyne, ułożone, przesadnie porządne. Owszem, lubiła się wystroić, wodą perfumowaną z maminej toaletki skropić i podkraśnić usta, ale wiedziała, że nie potrafiłaby żyć tylko tym, że to byłoby dla niej nudne. Ona chciała przygód. Kiedy słyszała o niesamowitych kobietach, na przykład o Wandzie Modlibowskiej, polskiej szybowniczce, która biła rekordy przestworzy, z emocji dostawała wypieków. A natrafiwszy na wzmianki o Helen Bridge czy Amelii Greenwald, które kierowały prężnymi warszawskimi szkołami dla pielęgniarek, z wrażenia nie mogła potem zasnąć. Ona też chciała taka być! Niezwykła, odważna, światowa. Czuła, że mogłaby tego dokonać. Jeśli będzie ciężko pracować i stanie się najlepsza we wszystkim.

Rówieśnicy mieli problemy z dorównaniem jej, nie tylko sprawnością, ale i w nauce. Zawsze zdobywała najlepsze stopnie, i to z każdego przedmiotu. Brylowała na szkolnych przedstawieniach, wiersze recytowała bez zająknięcia, rachowała niemal tak szybko jak nauczyciele, których miała wielu, bo w szkole ciągle ktoś się zatrudniał i zwalniał. Czytała wszystko, co jej wpadło w ręce. Zarówno po polsku, jak i po niemiecku, więc w obydwu językach wysławiała się lekko i naturalnie.

Kiedy ojciec siedział w fotelu z „Dziennikiem Bydgoskim” w rękach, zaglądała mu przez ramię, łąpczywie czytała i zadawała pytania, bo rzecz jasna, nie wszystko rozumiała, ale, co ojciec dostrzegał z zadowoleniem, szybko pojmowała. Każdą stronę znała od deski do deski wraz z dodatkami, szczególną uwagę poświęcając nowinom ze świata medycyny i filmu.

Oglądała wszystkie spektakle teatralne i muzyczne, na które udało jej się sprytnie wcisnąć, nie płacąc za wstęp ani grosza. Nie potrafiła oderwać oczu od sceny, od kolorowego świata, który tak bardzo ją elektryzował. Słuchała i zapamiętywała każde słowo, każdy gest, każdą nutę, a potem z bijącym sercem dniami i nocami odtwarzała je w wyobraźni, minuta po minucie. Karmiła tym swoją wiecznie nienasyconą duszę.

Kiedy we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku do fordońskiego więzienia miała trafić Rita Gorgonowa, której proces o zabójstwo dziewięcioletniej Lusi Zarębskiej był głośno komentowany w całym kraju, Ania wraz z matką czekała przy torach na przyjazd specjalnie zabezpieczonego wagonu. Miała za ledwie trzynaście lat, ale już wtedy była żądna wiedzy o wszystkim i wszystkich. Stojąc na peronie, liczyła na to, że na własne oczy zobaczy kobietę, o której nikt nie mówił inaczej, jak tylko zbrodniarka i morderczyni. Nie udało się, ale później, ilekroć przechodziła obok więzienia, zerkała w okna, licząc na to, że za kratami ujrzy twarz ciemnowłosej Rity.

Kiedy rok później na okołofordońskich stokach Czarnej i Łysej Góry uruchomiono szybowisko i zorganizowano zawody szybowcowe, Ania w pierwszym rzędzie oklaskiwała zwycięzcę, pilota Kazimierza Mindaka, który wydał jej się wtedy najprzystojniejszym i najmężniejszym mężczyzną pod słońcem.

Należała do osób wyjątkowo wrażliwych na cudze nieszczęście i kiedy ojciec Ewy Mandyczówny, jej szkolnej przyjaciółki, stracił w pracy nogę i nie mógł zarabiać, dzieliła się z nią kanapkami. Z Antkiem Dziarkowskim też, choć on głodem nie przymierał. Wręcz przeciwnie. Pochodził z bogatego domu, ale zawsze jakoś tak łakomie patrzył na jej skibki chleba, że nie potrafiła mu odmówić. Poza tym miał „trudny” dom, często przychodził do szkoły z siniakami na rękach i na twarzy. I choć nigdy się nie żalił, Ania lubiła go pocieszać. To jej dzielenie się jedzeniem sprawiło, że z Ewą i Antkiem stworzyli nierozłączną trójkę i wszędzie szwendali się razem. Po lekcjach siadali na rynku i obgadywali co ciekawszych przechodniów, fantazując, że kiedyś i ich będzie stać na wykwintny obiad w restauracji, szykowny strój od krawca i kapelusz prosto z żurnala. Że będą się wozić fiatem, a może i mercedesem, albo dumnie paradować szeroką ulicą Bydgoską, kłując w oczy zazdrosnych fordonian.

W trójkę trzymali się do końca szkoły powszechnej, później ich drogi się rozeszły. Antek, choć chciał, nie mógł uczyć się dalej.

Ojciec zaplanował dla niego inną przyszłość – w rodzinnym gospodarstwie sadowniczo-warzywnym. Syn miał mu pomagać przy rozwoju towaru, co Antkowi nawet odpowiadało, bo szalał na punkcie samochodów. Przystał więc na to, choć wcześniej zapowiadał, że zerwie się z ojcowskiego łańcucha.

Ewa także zakończyła edukację na szkole powszechnej. Dla niej rodzice przewidzieli przyszłość krawcovej. Miała pójść w ślady matki i starszych siostr, co w pełni akceptowała, bo lubiła szyć, a spod jej ręki wychodziły już całkiem zgrabne sukienki i spódnice. Była też przygotowywana do zamążpójścia. Ojciec obiecał ją dla syna sąsiada. Gdyby Ewa była podobna do Ani, zapewne by się nie zgodziła, zaprotestowałaby przeciwko jakimkolwiek ustaleniom za jej plecami. Ewa kochała jednak niewysokiego i niezbyt urodziwego Walusia i z niecierpliwością oczekiwała momentu, gdy odda mu swój wianek.

Jedynie Anna kontynuowała edukację. Jej ojciec był wielkim orędownikiem nauki i podziwiał córkę, mimo że nie zawsze okazywał to na głos, ale kiedy przyszła pora na podjęcie decyzji o dalszym kształceniu, nie zawahał się, choć zdawał sobie sprawę, że w domowym budżecie nie ma na to odłożonych pieniędzy.

– A może byśmy perły i złoto po mamie sprzedali? – zaproponował Justynie.

– Przecież to na wesela miało być. Tak mówiła twoja matka.

– Wiem, ale kto to wtedy myślał, że z Ani taka mądrała wyrośnie. Przecież nie ma po kim... – stwierdził, a Justyna już chciała zaprotestować, kiedy uspokajająco dodał: – No, oczywiście, najbardziej to po tobie, ale sama dobrze widzisz, że ona nawet ciebie już przeskoczyła.

Justyna pokiwała głową i mruknęła.

– Ale myślisz, że twoja matka nie miałaby nam za złe? Że na szkołę?

– A gdzieżby! Ważne, żeby na wnuki. Na tym jej zależało. Tak sobie myślałem... – cmoknął – ...że Ania byłaby pierwszą tak dobrze wykształconą kobietą w naszej rodzinie.

– Masz rację. – Jego żona aż pojaśniała. – To byłaby duma dla nas wszystkich.

– Tak, Justysiu. Dokładnie tak jak mówisz, a poza tym... – ściszył głos, jakby zdradzał tajemnicę. – Twoja siostra będzie ci zazdrościć.

Oberwał za to ścierką w ramię, ale w mig pojął, że właśnie przedstawił swej żonie absolutnie kluczowy argument, który przekonał ją do sprzedaży rodzinnych kosztowności na edukację córki.



Wnikliwa lektura dodatków medycznych „Dziennika Bydgoskiego” zaważyła na tym, że Ania postanowiła zostać pielęgniarką. Chciała zgłębiać anatomię człowieka, umniejszać bólu schorowanym i cierpiącym, a także przynosić światło życia, kiedy wokół panoszyła się ciemność – jak mawiał ksiądz na kazaniach. Wybrała pielęgniarstwo, bo naczytała się o dzielnych sanitariuszkach, które podczas wielkiej wojny na frontach Europy opatrywały żołnierzy. I o tych, które później zakładały szkoły pielęgniarskie i wprowadzały w tajniki zawodu. Czuła, że ona też by tak mogła. I zbawiać świat, i nauczać! Tak!

Zamarzyła o Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa. Zdołała już o niej wszelkie informacje i cieszyła się, że ma szansę na stypendium, bo bez niego nie byłaby w stanie podjąć dalszej nauki.

– Przyjmą mnie od września! – oznajmiła mamie.

– To cudownie, dziecko!

– Tak! Nie mogę się już doczekać! To będzie wielka szkoła, światowi nauczyciele i... stolica.

– Tak jak chciałaś.

– No! Ale nie zamierzam beczynnie czekać, wiesz? Pójdę do pracy, bo do Warszawy dobrze byłoby wyjechać z jakimś groszem. Zatrudnię się w restauracji. Byłam dziś na mieście popytać. Z pracą jest krucho, ale ponoć w „Wiślanej” szukają. A ja jestem bystra, dobrze rachuję i znam niemiecki, to mnie na pewno wezmą.

Matka załamała ręce.

– Dziecko! Do takiej pracy to pewnie kolejka. I to mężczyzn.

– A gdzie tam! Ewa mi mówiła, że ten Wężyk, właściciel, wszystkich odprawił. Bo albo ze słabym niemieckim byli, albo w rachunkach się mylili, albo nie wyglądali najlepiej. Teraz przepytuje nawet kobiety, ale na razie żadnej nie wziął – Ania trajkotała radośnie, a Justyna, słuchając jej, łapała się za głowę. – Ale jak mnie przepyta, to na pewno weźmie, bo u mnie ze wszystkim prima sort, mamuś! Przecież wiesz!

Wstała i zaczęła kręcić się jak fryga.

– Poza tym będę się uczyć. Jak szalona! Wypożyczę wszystkie książki medyczne, jakie są w bibliotece. I dodatki medyczne do „Dziennika Bydgoskiego”, bo przecież wszystkich nie znam. I od doktora Naborowa poproszę o podręczniki. On jest mi przychylny, więc na pewno udostępni. Te periodyki medyczne, co trzyma w gabinecie, też. I pójdę do pani Stasi. Ona może mieć coś dla pielęgniarek. Wszystko przeczytam i... I...

Justyna wstała od stołu, podeszła do córki i dobrotliwie pogłaskała ją po głowie.

– Zawsze wiedziałam, że będziesz kimś niezwykłym. Nawet jak w brzuchu cię miałam, to inaczej się ruszałaś niż te dwa wisusy. A potem tymi swoimi oczkami – palcem uniosła jej brodę – z taką ciekawością na wszystko patrzyłaś.

– A mówiłaś mi, że byłam uparta! – przypomniała jej Ania wesoło.

– Od dziecka, ale nie tak jak chłopcy. Ta twoja upartość, choć czasami mnie złościła, pchała cię w dobrą stronę.

Anna spojrzała na matkę uważnie. Zmarszczone brwi, drgające nozdrza, a w hardych oczach łzy. To był rzadki widok, bo matka nie kryła się z emocjami tylko na dużych uroczystościach rodzinnych – ślubach czy pogrzebach, lub gdy na rezurekcję ksiądz śpiewał niskim głosem pierwsze powielkopostne „Alleluja”. Teraz Justyna Łabędź przez krótką chwilę naprawdę była wzruszona. Odchrząknęła, wygładziła fartuch i nagle zmieniła front.

– A mąż? A dzieci? Przecież... Ty skończysz szkołę za dwa lata. Będziesz już po dwudziestce! Jak ja tyle miałam, to chłopcy byli na

świecie. Dziecko drogie – zaniepokoiła się. – Kto cię zechce po tej szkole? Stara będziesz na zamążpójście!

– Mamuś, czasy się zmieniły – odparła z lekkością Ania, w ogóle niez mieszana. Co najmniej jakby spodziewała się takiej reakcji. – Dziś to kobiety decydują o sobie, a nie małżeństwo o nich. Ja tak uważam! I chcę się uczyć! Chcę świat lepiej poznać! To jest dla mnie najważniejsze!

Matka pokręciła głową i opadła na krzesło, które zaskrzeczało pod jej ciężarem. Na piecu już bulgotała zupa i w normalnych okolicznościach Justyna pospiesznie by ją przemieszała. Teraz nawet nie spojrzała w tym kierunku.

Ania jeszcze przez chwilę paplała o swoich wielkich planach, wyjeździe, podbojach, ale w końcu dostrzegła strapioną twarz matki i dodała:

– Nie martw się, mamuś. Będę miała męża, ale nie stąd! Z jakiegoś dużego miasta. Będzie wykształcony i przystojny jak z plakatów! Zobaczysz! A może i wnuków się doczekasz?!

Justyna najwyraźniej pragnęła usłyszeć to magiczne słowo. Wnuki... Uniosła wzrok, a prawy kącik jej ust poszybował w górę. Tęskniła za tupotem stópek, dziecięcym jazgotem, nawet za nieznośnym płaczem, na który nieraz w przeszłości skarżyła się mężowi. Teraz ich dom przy Piłsudskiego trawiła cisza.

– Mam nadzieję, Aneczko. Mam nadzieję...

NOWY ROZDZIAŁ

Anna Łabędź rzeczywiście otrzymała pracę w niezbyt wykwintnej restauracji „Wiślana” przy ulicy Bydgoskiej. Beniamin Wężyk, szef sali i jednocześnie właściciel przybytku, przepytał ją drobiazgowo i z rachunków, i z niemieckiego. Sprawdził też, nie do końca ufając kobiecym zdolnościom, szybkość zapamiętywania nazw dań i umiejętność gładkiego wysławiania się. Był z niej zadowolony. Ania myślała, że od razu trafi do obsługi klientów, jednak Wężyk wysłał ją na zaplecze. Oczywiście, że wolałaby przyjmować zamówienia, być wśród ludzi, uwijać się między stolikami, ale nie mogła przecież wybrzydzać i każdego dnia pędziła co tchu do lokalu, by myć naczynia, obierać ziemniaki i kroić cebulę, roniąc przy tym wiadra łez. Potrzebowała pieniędzy, a każdą przepracowaną godzinę przeliczała na pończochy, wymarzone skórkowe buty z obcasikiem i paseczkiem czy materiał na sukienkę. Kiedy pewnego dnia szef wysłał ją na salę, z radości aż podskoczyła i ku zaskoczeniu wszystkich poradziła sobie wyśmienicie. Na początku nieco stremowana, po godzinie czuła się jak ryba w wodzie. Drżenie rąk zniknęło, a na twarzy pojawił się uśmiech. Po tygodniu pracowała już głównie na sali. Wszystko dlatego, że kartę dań, która zresztą nie należała do skomplikowanych ani wyrafinowanych, znała na pamięć i po polsku, i po niemiecku, a do tego nie myliła się w liczeniu. Dla klientów była uprzejma, nawet przesadnie, co szczególnie cieszyło Wężyka, który usługowość traktował priorytetowo. Ania przysłużyła się „Wiślanej”. Klienci chętnie wracali, bo mieli na kim oko za-

wiesić, a czasami nawet do kogo posuszyć zęby (albo to, co z nich zostało).

Pracy w restauracji nigdy nie brakowało, nawet gdy gości było niewielu. Do obowiązków dziewczyny, oprócz obsługi klientów, należało bowiem dbanie o czystość sali oraz przyjmowanie towarów. I o ile za sprząaniem Łabędziówna nie przepadała, o tyle dostawy lubiła przyjmować, bo to zawsze była szansa na poznanie nowych ludzi i zagadanie o to, co się dzieje w świecie. A przecież to ją interesowało najbardziej. Dostawcy w większości byli niezbyt rozmowni, ale zdarzały się wyjątki. Kiedy z Łodzi przyjeżdżał pan Musiał, oferując wyszukane alkohole, z zapartym tchem wsłuchiwała się w opowieści o łódzkim szpitalu wybudowanym ze społecznych składek. Sędziwego pana Smarzewskiego z Bydgoszczy wypytywała o sprawy lokalne, bo był najlepiej zorientowany w tym, kto zbankrutował, a kto dzięki pożyczce otwierał nowy interes. Pana Wróbla natomiast, przywożącego piwo z pobliskiego browaru, nie zagadywała wcale. Gdy tylko ją widział, sam zaczynał snuć opowieści o... wielkiej wojnie i swojej, zapewne odrobinę wyolbrzymionej, roli w armii Hallera. Robił to tak ciekawie i przejmująco, że Ania przerywała mu dopiero wtedy, gdy słyszała ciężkie kroki Beniamina Wężyka.

Łabędziówna lubiła też odwiedziny swojego przyjaciela Antka Dziarkowskiego, który w restauracji zjawiał się regularnie. Jego ojciec od lat dostarczał „Wiślanej” ziemniaki i jabłka na strucle, a Antek zajmował się dostawami.

– Dobrze ci u ojca? – zapytała podczas jednego z ich pierwszych spotkań w „Wiślanej”.

– Nie jest źle – odpowiedział chłopak lakonicznie, po czym dodał: – Mało siedzę z ojcem. Jeżdżę z towarem, a to najlepsza strona tej roboty.

– Zawsze lubiłeś samochody.

– To prawda. Nie minęło mi. A teraz to nawet radzę sobie z naprawami. Dużo już pojąłem.

– A na początku tak ci się nie chciało pracować u ojca.

– Bo wiesz, jaki jest – powiedział zadziwiająco spokojnie.

Kiedyś na samo słowo „ojciec” drżał, nawet zaczynał się jąkać. Teraz jawił się jakoś inaczej.

Stefan Dziarkowski znany był z pociągu do wódki oraz z ciężkiej ręki względem swoich dzieci i pracowników. Żony też. Skórzany bat niemal zrósł się z jego ręką. Niejednemu Dziarkowski wygarbował nim skórę, niejednemu narobił blizn. Było kilku, co mu się postawili. Pięciominutowi bohaterowie, którzy po chwili glorii musieli się wynosić z fordońskiej, a nawet bydgoskiej okolicy, bo ojciec Antka miał wielkie wpływy i potrafił załatwić, by nikt człowiekowi nie dał pracy. „Skurwysyn” – tak na niego pokątnie mówiono i każdy wiedział, że całkowicie zasłużenie. Lepiej było nie wchodzić mu w drogę.

Dziarkowski był stałym bywalcem burdeli. Nawet się z tym nie krył, przynosząc ujmę żonie, której zresztą nigdy dobrze nie traktował. Miał swoje ulubione miejsca w Bydgoszczy, a ponieważ sporo zarabiał, stać go było na najlepsze dziwki, a także na towarzystwo aktorek, które obsypywał drogimi prezentami. Nie trzymał się przy tym jednej kochanki. Mówiono nawet, że zlewał z kilkoma naraz. Kiedyś po Fordonie hulała plotka, że dopuścił się gwałtu na nieletniej, jednak formalnie sprawa nie ujrzała światła dziennego, a rzekoma ofiara nigdy nie zabrała głosu.

– Ale o twoim ojcu nadal nie mówią najlepiej.

Antek zmarszczył nos.

– Teraz, jak siedzę w tych interesach, to widzę, że czasem trzeba huknąć, bo ludzie to śmierdzące lenie i złodzieje, jak im człowiek popuści.

Ania patrzyła na starego przyjaciela z niedowierzaniem. Mówił jakby inaczej. Tak w zasadzie to nie mówił, a ciskał słowami.

– I nerwy trzeba mieć ze stali, żeby ze wszystkim dać sobie radę, szczególnie z ludźmi. Chyba lepiej rozumiem ojca. Nie żebym go tłumaczył, ale pojąłem, skąd u niego te napady złości.

„I wyzywanie się na dzieciach też? I na żonie?” – pomyślała z żalem Ania. Rękoczynów w żaden sposób nie potrafiła wytłumaczyć.

Antek spojrzał ponad jej głową na pakę ciężarówki.

– Jeszcze dwie skrzynie dla was.

– Aha.

Przyglądała mu się, kiedy nosił towar. Dostrzegła w nim mężczyznę, nie chłopca, z którym kolegowała się w szkole powszechnej. Co prawda rysy twarzy nadal miał delikatne, łącie chłopięce, ale zapuścił cienkiego wąsa. Poza tym zmężniał i sporo urósł. Był wyższy od niej niemal o głowę. Policzki pozostały nieco pyzate, ale fryzura „na garnek” ustąpiła miejsca bardzo modnemu uczesaniu, z przedziałkiem po lewej. Gdyby nie zniszczone od pracy fizycznej dłonie i upaprane ubranie, powiedziałyby, że pracuje za biurkiem.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła i klepnęła go w ramię, po kumpelsku.

Antek zrobił zdziwioną minę, jakby zapomniał, że kiedyś często w ten sposób się zachowywała.

– No co? – zapytała. – Odwykłeś? – Klepnęła go raz jeszcze.

– Chyba tak. Wiesz... Dawno się nie widzieliśmy, nie gadaliśmy tak jak dziś – mówił niepewnie, ale już bardziej swojsko, bez cwaniactwa, które jeszcze przed chwilą było słycać w jego głosie. Ania pomyślała, że dawny Antek wrócił. Ucieszyło ją to. – Trochę czasu upłynęło i myślałem, że...

– Że co?

– Żeś inna niż kiedyś.

– Bo maturę zdałam?

– No tak.

Końcówki jego uszu poczerwieniały. Zawsze tak miał, kiedy robiło mu się głupio. Ania wybuchnęła śmiechem.

– Antek, to przecież ja!

– No, ale...

– Nigdy się nie zmienię – ściszyła głos. – Matka by chciała, żebym nabrała ogłady, ale to nie dla mnie. Czasami mogę nosa pozadzierać, ubrać się w suknię, ale na co dzień jestem tą samą Anią, jak dawniej.

– Naprawdę? – ożywił się. – I w Fordonie zostaniesz?
 – Na razie tak, ale niedługo do Warszawy jadę.
 – Aaa...
 – Ale nie powiedziałam, że jutro. Jeszcze niejeden raz się zobaczymy.

– A po co do tej Warszawy? Masz tam kogo?

Roześmiała się.

– Do szkoły idę! Do szkoły pielęgniarskiej! – oznajmiła dumnie. – To moja przyszłość. Tak myślę! Rozmawiałam z naszym doktorem Naborowem i powiedział, że się nadaję. Nie boję się krwi, nie obrzydzą mnie wrzody, nie straszne mi strzykawki ani opatrywanie ran. Do tego lubię się uczyć. Doktor pożyczył mi książki, więc czytam o anatomii, bo chcę być najlepsza, i to od samego początku. Antek! – Cmoknęła z zachwytem. – Ja czuję, że to dla mnie! To jest coś wyjątkowego!

– Taa... – rzucił pogardliwie.

Anna zdawała się tego nie słyszeć, bo ciągnęła zafascynowana:

– Warszawa! Wielka szkoła! Cieszę się, ale tam jest dużo takich dziewczyn jak ja. Chyba nawet same takie jak ja. I dlatego tyle się uczę, żeby je przewyższyć już na starcie. I żeby pokazać nauczycielom, jaka jestem dobra!

– Pójdiesz w świat, zobaczysz szerokie ulice Warszawy, ludzi jak malowanych w tych no... W futrach, w kapeluszach jakich. Zobaczysz tłok na chodnikach i na ulicach pewnie też. Wielkie budynki, teatry i zapomnisz o nas. Tego chcesz? – Antek najwyraźniej próbował obrzydzić Ani stolicę.

Ona jednak odparła z entuzjazmem:

– Tak! Idealnie to ująłeś!

Radosna ekscytacja zniknęła z jej twarzy w ciągu sekundy, gdy na zaplecze wszedł szef i rzucił z dezaprobatą:

– Za paplanie ci nie płacę! Do roboty!